

Przez adwent, roraty oraz w święta Bożego Narodzenia towarzyszyły nam figurki św. Rodziny z Nazaretu, które wyrzeźbił znany wielu w parafii - pan Aron Knosala z Opoła. A jaką rodzinę on sam na co dzień "rzeźbi"? Przekonajcie się sami, czytając opowieść o pięknej miłości: miłości do Boga, miłości małżeńskiej, a także miłości rodzicielskiej.

Źródło - Gość Niedzielny - Anna Kwaśnicka

"Wybrali cichość Nazaretu"

Wybrali siebie i temu wyborowi byli wierni każdego dnia. Agnieszka, gdy dowiedziała się, że jest po raz kolejny w ciąży, odstawiła leki, by nie zaszkodzić życiu, które nosiła pod sercem. Gdy badania wykazały, że urodzi bliźniaki, z których jedno ma wadę genetyczną, przez myśl jej nie przeszło, by – jak to niektórzy lekarze jej podpowiadali – problem usunąć legalnie. Przed rokiem urodziła zdrową Elizę i Dawida, który ma zespół Downa. Siedem miesięcy później zdiagnozowano u niej ostrą białaczkę szpikową. Zmarła tego samego dnia, którego trafiła do szpitala.

Jesteś mi przeznaczony. Z Aronem poznali się w drugiej połowie lat 80. w ruchu charyzmatycznym przy parafii św. Apostołów Piotra i Pawła w Opolu. Po raz pierwszy zobaczyłem Agnisię, kiedy przyszła na moje urodziny. Stała w drzwiach z lilią w rękach. Wyglądała jak anioł – opowiada Aron Knosala. To był czas, gdy oboje rozeznawali swoje powołanie. Aron myślał o Towarzystwie Jezusowym. Również Agnieszka była otwarta na myśli o pójściu do klasztoru. W 1989 roku na pielgrzymce na Jasną Górę prosiłem Jezusa o pomoc w wyborze drogi. Modliłem się, że jeśli miałbym wybrać stan małżeński, to proszę, by przeznaczona mi kobieta podeszła do mnie – wspomina Aron. Wtedy, w święto Matki Boskiej Częstochowskiej, po Apelu Jasnogórskim podeszła do mnie Agnisia. Drżącym głosem powiedziała mi, że wiele się modliła i rozeznała, że jestem jej przeznaczony. Zamurowało mnie. Aga miała chłopaka, a podeszła do mnie – opowiada Aron. Oboje pojechali do Starej Wsi na rekolekcje do o. Bronisława Mokrzyckiego SJ. Wrócili jako narzeczeni. Życie dla ewangelizacji. Razem założyli grupę ewangelizacyjną „Pantomima”. Występowali w parafiach, na ulicach. Grali przedstawienia w czasie Światowych Dni Młodzieży w Częstochowie. Byli aktywni, spalali się dla głoszenia słowa Bożego. Tego pragnęli. W ich codzienności było wiele znaków Bożej obecności. Choćby wtedy, gdy myśląc o ślubie, zastanawiali się, gdzie będą mieszkać. Nie mieli ani mieszkania, ani domu. Pojechali więc na Jasną Górę, by modlić się o pomoc, a gdy wieczorem wrócili, czekała na nich kartka: „Była pani z Naroka, chce ci wynająć dom na 5 lat”. – To był czas nasycania się Bożą miłością – podsumowuje Aron. Pobrali się na początku 1991 roku. Krótco po ślubie Agnieszka przeżyła traumatyczne wydarzenie. W dniu swoich urodzin, wracając z Półwsi do Naroka, nie zdążyła na autobus, więc łąpała stopa. Kierowca, z którym pojechała, nie zatrzymał się w Naroku, ale dodał gazu i zaczął syczeć, że ją zabije. – Kiedy zaczęli dojeżdżać do linii lasu, Agusia zrozumiała, że za chwilę zginie. Zawołała do Boga, żałując, że nigdy nie urodzi dzieci, a marzyła o sóstce. Wtedy przed samochodem nagle pojawiło się światło, a kierowca zmienił swoje zachowanie. Wystraszył się, zaczął przeproszać, w końcu zatrzymał samochód, a Agnieszka uciekła. Miesiąc później inna dziewczyna w tym samym miejscu łąpała stopa. Znalaziono ją martwą w lesie za Sławicami. Sądzę, że to był ten sam człowiek – mówi Aron, podkreślając, że jego żona wiedziała, że zostało jej darowane życie.

Na pierwszym miejscu rodzina. Kiedy Agnieszka zaszła w ciążę, w naszym życiu zaczęło brakować czasu, pojawiło się zmęczenie, a także niepokój. Poprosiliśmy wtedy jeszcze błogosławioną s. Faustynę o pomoc i pojechaliśmy do o. Mokrzyckiego na rozmowę. Autostopem, 400 kilometrów. Wysłuchał nas i dał nam krótką receptę: „uciąć to wszystko”. Wszystko, czyli „Pantomimę”, ewangelizację, nasze funkcje we wspólnotcie. „Jak to? Przecież podjąłem się tych zobowiązań” – pytałem. Ale o. Mokrzycki powiedział mi, że mocą daną przez Boga Kościołowi i kapłanom rozwiązuje te zobowiązania – wspomina Aron. Tak też zrobili, ucięli swoje zaangażowanie w ruchu. Ich decyzja nie została zrozumiana we wspólnotcie. Usłyszeli wiele gorzkich słów, niemniej podjętej decyzji nie zmienili.

Całe swoje zaangażowanie skierowali na rodzinę. Na świat przyszła Faustyna, dwa lata później Ania. – Gdy zbliżyły się moje 33. urodziny, zastanawialiśmy się, co przyniesie „wiek Chrystusowy”, nasz nowy czas. Krótco po moich urodzinach Agnieszka bardzo ciężko zachorowała – opowiada. – By zająć się rodziną, zwolniłem się z pracy. Gotowałem, robiłem zakupy, zajmowałem się Agnisią i córeczkami, a nocą wykonywałem zlecenia. Tak naprawdę zawalił się nasz świat. Modliłem się, ale nic się nie działo. Nie było znaków, tak jak kiedyś – mówi. Po trzech latach choroba Agnieszki została zdiagnozowana. Otrzymała silne leki, które miały wiele skutków ubocznych. Utraciła swoją piękną, smukłą sylwetkę, jej kruczne włosy mocno się przerzedziły. Nie narzekała. Akceptowała te zmiany. Tak jak wcześniej akceptowała przytyki, że zamiast kariery wybrała bycie kurą domową – podkreśla Aron. Z czasem na świat przyszły Oliwia i Patrycja. Szczęście w codzienności. Świadcstwo Agnieszki i Arona pokazuje, że sukcesów w życiu małżeńskim i rodzinnym nie trzeba mierzyć kryteriami podpowiadanyimi przez współczesną kulturę. Najważniejsze są wzajemna miłość i czas dla siebie. Trzeba być w pełni zaangażowanym w życie współmałżonka i dzieci. Agnieszka była intelektualistką, miała wyższe wykształcenie, a wybrała bycie gospodynią domową. Stworzyła dom pełen miłości i ciepła. Wychodząc za męża, nie potrafiła gotować. Z czasem w kuchni wyczarowywała pyszności. Doświadczona ciężką chorobą straciła figurę, urodę, ale nie przejmowała się tym. Wcześniej znana i rozpoznawana przez wiele osób, stała się po prostu tą uśmiechniętą sąsiadką, mamą Faustyny, Ani, Oliwki, Patrycji i po latach Elizki i Dawidka.

Kiedy kilkanaście lat temu przeprowadziliśmy się na ZWM, nikt nas tutaj nie znał. To był nasz Nazaret. Jak Maryja i Józef żyliśmy bardzo zwyczajnie. Naszą rodzinną modlitwą był Różaniec. W niedziele rozmawialiśmy o usłyszonym w czasie Mszy św. słowie Bożym. Błogosławiliśmy siebie nawzajem – opowiada Aron. Zawsze byli otwarci na nowe życie, nigdy nie używali antykoncepcji, stąd i poczęcie bliźniąt przyjęli z wielką ufnością. 23 czerwca 2013 To dzień, którego nigdy nie zapomną. Miało być tak pięknie. Kolejna rocznica urodzin Arona. Dzień Ojca. A było całkiem inaczej. To dzień śmierci Agnieszki. – Od przebudzenia się była bardzo słaba. Miała spuchniętą szyję. Gdy próbowała przejść kilka kroków po mieszkaniu, upadła i straciła przytomność. Zadzwoiłem po pogotowie – opowiada Aron.

Emocje ściskają mu gardło. W szpitalu okazało się, że u Agnieszki zdiagnozowano ostrą białaczkę szpikową. Były rokowania, na drugi dzień miała być przewieziona do Wrocławia. – Kiedy spytałem Agusię, co by było, gdyby umarła, popłynęły jej łzy i wyszeptala, że wtedy będzie ze swoim Jezusem – wspomina Aron, dopowiadając, że żona zadzwoniła też do najstarszej Faustyny i powiedziała jej, że teraz to ona będzie wychowywać bliźnięta. O 22.30 w ich mieszkaniu zadzwonił telefon. To była informacja ze szpitala o śmierci Agnieszki. – Nigdy nie zapomnę bólu, który rozrywał moje córki. Ale po czasie, gdy płacz się uspokoił, zaczęły się modlić. Nie było złorzeczeń, pytań

„dlaczego?”. Gdyby nie nasza wiara, to doświadczenie zwałoby nas z nóg – mówi w imieniu swoim i córek. Dziś uczą się życia w nowej sytuacji, a ich profesorem miłości jest Dawidek. Najstarsze córki, już studentki, na zmianę opiekują się bliźniakami, a w trosce o dom dopingują również tatę. Pomaga im babcia, ale pomagają też całkiem obcy ludzie. Przynoszą obiady, pomagają w opiece nad dziećmi, wspierają modlitwą. W ich życiu dzieją się cuda.